

Rutki to dla niejednego kursanta początek przygody z jaskiniami. Klubowy poligon szkoleniowy. Miejsce znane w Trójmieście jako bardzo atrakcyjne ze względu na rzadko uczęszczany wiadukt kolejowy nad wodami rzeki Radunia. W tym miejscu kończy się najbardziej wymagający odcinek rzeki, Jar Raduni. Jakiś czas temu pojawił się pomysł spłynięcia tym fragmentem i dołączenia do kursantów na wieczornym ognisku. Oprócz pomysłu, którym podzieliłam się w klubie, najbardziej brakowało mi doświadczenia. Szczęśliwie pomysł spodobał się Kani. Zapewne sam był zdziwiony, kiedy stał się organizatorem wypadu.

W sobotę o 7 rano w pięcioosobowym składzie spotykamy się pod klubem Morzkułc. Kiedy mocujemy na dachy samochodów kajaki, zaczyna padać i po chwili pada coraz mocniej. Zaczynamy z Piotrem mieć wątpliwości czy to słuszne wybierać się na Jar Raduni, kiedy nasze doświadczenie w pływaniu jednoosobowymi kajakami jest zerowe. Piotr jak później przyznał sadził, że czeka go miły dzień i nie zakładał jakichkolwiek wywrotek. Z kolei Garbek, który już wcześniej miał okazję spływać Jarem Raduni, podczas szykowania się do zejścia na wodę założył piankę. Nie wiem jakie emocje towarzyszyły Majce i Kani kiedy szykowali swoją kanadyjkę, ale wydawali się spokojni.

Pierwsze wrażenie to przerażenie. Kajak tańczy niestabilnie, szok. Pierwszy płynie Garbek. Staram się naśladować wybierane przez niego sposoby na ominięcie przeszkód. Kiedy pierwszy szok mija pojawiają się kolejne i kolejne powalone drzewa, a nurt przyspiesza. Pierwsza dłuższa przenoska to zarazem pierwsze miejsce na króciutki postój. Chwilę później próbuję zmieścić się pod powalonym konarem i przekazuję Piotrowi, który jest za mną, że to się chyba nie uda. Piotr próbując się wycofać, zalicza pierwszą wywrotkę. Opowiadając o swoim zimnym doświadczeniu, szuka rzeczy na przebranie, a pozostali pomagają wylać wodę z kajaka. Po chwili mijają nas, a raczej robią sobie przerwę trzej kajakarze z klubu Bałtyk. Nie ukrywają wrażenia, jakie robi na nich kanadyjka — są pełni podziwu. Ruszamy dalej. Woda bystrzy się coraz częściej i mam wrażenie, że to ona decyduje, co się ze mną stanie. Pod jednym z drzew zawisam na kamizelce asekuracyjnej, to znów znosi mnie na powalone drzewo i w przechyle nabieram wodę mimo fartucha. Piotr nieszczęśliwie znów ląduje w wodzie i tym razem podejmuje decyzję, że nie będzie się przebierał. Doganiamy czekającego od dłuższego czasu Garbka. A potem kolej na kąpiel Kani, który zawzięcie próbując przenieść kanadyjkę nad konarem, staje na drzewie wystającym spod wody. Pechowo, kiedy na nim staje ono się rozpada i Kania ląduje po pas w wodzie. Parę metrów po kolejnym starcie nurt wpycha kajak pod ukośnie położony konar drzewa i Piotr tym razem zalicza dłuższą kąpiel. Garbek odpływa, dając nam do zrozumienia, że widzimy się na Rutkach. Kolejne bystrza, powalone drzewa, przenoski sprawiają, że powoli tracę siły. Nie mogę już np. skutecznie pokonywać ruchami robaczkowymi drzew wystających z wody. Czuję, że zaczynam irytować się swoim brakiem umiejętności sterowania. Szczęśliwie ekipa pomaga sobie nawzajem bardzo chętnie. Kiedy już wszystko mnie boli, a przenoski są torturami, rzeka uspokaja się, kojąc zmysły. Zaczynam zauważać piękno otaczającej przyrody. Mogę cieszyć oczy, kiedy reszta ciała pragnie ujrzeć

Rutki kajakowo

Wpisany przez Darek
poniedziałek, 30 kwietnia 2012 09:34

metę. Nic więc dziwnego, że na widok wiaduktu na Rutkach ucieszyłam się jak nigdy dotąd.

Podsumowując, spływ był bardzo udany. Odnajduję nawet podobieństwo do akcji jaskiniowych. Było mokro, niejednokrotnie trzeba było się przeciskać, prawie nic nie widziałam, bo zamykałam oczy w celu uniknięcia gałęzi. Dziękuję wszystkim, że znów mogłam poczuć, jak to dobrze być w gronie osób chętnych pomagać sobie nawzajem.

{vsig}aktualnosci/2012/rutki_kajaki{/vsig}